

ABELARD I HELOIZA.

PRZEZ

Stefana Pawlickiego.

1. *Wstęp. Stosunki społeczne Francyi w wieku XI.*
Nieraz już przeszły wieki całe, nie wydawszy męża, coby był woli ich wykonawcą, lub myśli tłumaczem, lub uczuć powiernikiem; pogrążone w eichéj pracy lub milczącej apatyi, stroniły one od wszelkich wzruszeń gwałtownych, a więc i od mężów wielkich, którzy wzruszeń tych są spotęgowaném uosobieniem. A w innych znowu czasach pełno wielkich ludzi: nie pojedynczo, lecz szeregami występują, podawszy sobie dłonie do wspólnego dzieła;... a wtedy patrząc na nich, zapominamy o milionach pomocników i tylko ich los śledzimy, jak gdyby ich dola była dolą wszystkich... lub téż tytany te nie pracują wspólnie, lecz walczą uporczywie, jeden przeciw drugiemu, a wtedy patrząc na ich walkę, zapominamy znowu o tysiącach, cō stawali przy nich i do rąk podawali nowe strzały, ile razy sajdak ich się wypróżnił, bo zdaje się, że ich walka, to walka wszystkich. Takie wspaniałe widowiska nie zawsze odbywają się; towarzyszą one tylko chwilom nadzwyczajnym, gdy albo stary porządek rzeczy kona, albo nowy się układa: jak gdyby w tych uroczystych chwilach nie dość było chóru zwyczajnych śpiewaków, lecz potrzeba było mistrzów popisujących się solo, aby lepiej oddać czy to cierpienia, czy nadzieje, tłoczące piersi wszystkich.

Takimi chwilami nadziei były wieki XI i XII naszéj ery; gdy średniowieczna cywilizacya i narody nowe ustalają

się na podwalinach nowych, a dzielni architekci nad ustaleniem ich pracują. Pracę tę najlepiej uwydatnił rozwój Francji. W wieku X, Francji jeszcze nie ma, innych ludów romańskich także nie było, tylko zarodki nowych społeczeństw szukają lub odpychają się nawzajem, wśród niesłychanych zamieszek i bezprzykładnego nieładu, ażeby ułożyć się w całość organiczną. Dzika ta fermentacja, wśród której wszystko stare się rozkłada, a nowego jeszcze nie ma, była konieczną reakcją, wywołaną przez dzieło Karola W. Na ruinach bowiem rzymskiego państwa wegetowały obok siebie stare, klassyczne żywioły i nowe germańskie: po miastach przechowało się coś ducha rzymskiego i rzymskiej oświaty, zewnątrz ich murów rozsiedli się rycerze barbarzyńcy, zdobywcy Galii, zostając ze sobą w bardzo niepewnych, żadnem jasnym prawem nieoznaczonych stosunkach; na około nich ludność wiejska prawie zdziczała. Niepogodzone te ze sobą warstwy jednoczy duch chrześcijański: po klasztorach i biskupich stolicach krzewi się nieco rzymskich nauk; powoli duch rzymski, który w południowej Galii nigdy nie zamarł zupełnie, wzrastając w siłę, pokrywa nową zielenią dzikie tłoczące go barbarzyńskie głązy, nareszcie zupełnego doczekał się zmartwychwstania, gdy silna dłoń Karola W. wywołała z grobu dawne rzymskie imperyum. Nieograniczona władza cesarów i komplikowana administracja ich rządów odżyły raz jeszcze, a krnąbrne, niesforne żywioły wtłoczone przemocą w starodawną sztuczną formę, wydały się na chwilę piękną, organiczną całością. Ale całość ta była ułudą, tylko i nie przeżyła stwórcy swego; ledwo Karol W. spoczął w kamiennym grobie w Akwizgranie, już budowa wspaniała chwiać się poczyną, a za wnuków jego rozsypała się w smutne ruiny. Nieład zaś otaczający nowe ruiny był większym prawie od zamieszek, towarzyszących pierwszemu wtargnięciu hord frankońskich do Galii: cesarscy urzędnicy, hrabiowie i książęta, przywłaszczywszy sobie ziemię, którą w imieniu panującego rozrządzali, zamieniają się w oddzielnych władców; ludność wiejska w niedoli i niewymownej nędzy, miasta pozbawione mieszkańców i dostatków; nad drogami i rzekami wszędzie ponure zameczyska, których dziedzice bezustannie, albo oblegają się nawzajem, albo nad podróżnymi się pastwią. Prawa żadnego, oświaty żadnej; niższe duchowień-

stwo pogrążone w ciemnocie i życiu rubaszném, zmysłowém, wyższe z mieczem w ręku uganiające się z świeckimi panami po polach bitwy: — oto obraz Francyi w wieku Xtym. Jednakże straszliwy zamęt ten unoszący się nad ruinami Karłowego gmachu, jest tylko na wpół konaniem, bo jest zarazem boleścią rodzenia: ze starego porządku rzeczy wychyla się narodowość nowa, która choć wiele przejęła z dawnych pierwiastków w istotę swoją, przecież niemi nie jest; części jej organiczne w wieku XI, jedna po drugiej z zamętu na jaw wychodzą i zrastają się w całość.

Najprzód ustala się władza królewska, a choć pierwsi Kapetyngowie nie mają ani zasobów materyalnych, jakimi rozporządzał Karol i synowie jego, ani uroku bozkich pomazańców, gdyż zajęli miejsce prawowitych swoich panów; przecież dając pomoc niejedną i pewną bezpieczeństwa rękojmiej, stają się niby nosobioną sprawiedliwości, a więc środkiem na około którego skupiają się wszyscy nieszczęśliwi, wszyscy prześladowani. Obok tworzącej się władzy królewskiej, duchowieństwo, którego niższe warstwy w X wieku tonęły w gminie, a wyższe w orszaku barbarzyńskich panów, wyróżnia się także, odradza się, dzięki usiłowaniom Grzegorza VII; staje się coraz więcej świadomém zadania swego i celów swoich: oświata wśród niego szerzy się coraz więcej, albowiem nauka odtąd uważa się za najpewniejszą drogę do kościelnych dostojęństw, a nauczycielska działalność za najzaszczytniejsze do nich polecenie. Duchowieństwo posiadające obszerne włości, wystawianém jest na zatargi z świeckimi panami, z butném rycerstwem, które i króla niechętnie słucha i nieraz krzywdzi duchownych dla widoków ziemskiej korzyści. Król i duchowieństwo razem zagrożeni, do wspólnej łączą się obrony i szukają sprzymierzeńców: opiekując się prześladowanymi i hamując popędliwość możnych, udzielają oni nowych sił żywotnych trzeciemu czynnikowi; gdyż pod ich opiekunictwem zasłoną napelniają się miasta ludem pracowitym, a w XII wieku, pod mądrą administracją opata Sugera i w sprzyjającej im nieobecności rycerstwa, które walczy o grób Zbawiciela, dorabiają się samorządu i cieszą się niemałym dobrobytem. I tak z mechanicznie tylko zmieszanych żywiołów, których zamęt wypełnia wiek X, wydzielają się części społeczne, które się zrosną niebawem w organiczną

całość: władza królewska, duchowieństwo, miasta, oto trzy wielkie czynniki, które po upadku Karolingów w X wieku nie nie znaczyły, a teraz już wiele ważą w obec feodalnego rycerstwa. A chociaż te składniki społeczne dopiero w ciągu XII wieku rozwijają działalność samowiedną, nie brak już w wieku XI młodzieńczych porywów, świadczących o sile nowego życia.

Każdemu bowiem przebudzeniu się społecznego rozwoju wtóruje polot duchowej pracy. Wiek X dla niej nie nie zrobił, ledwo tu i owdzie słabe tłały iskerki: po świetnych początkach za pierwszych Karolingów, po sławnych szkołach Alkuina i Rabana Maura, po filozofii Erygeny i teologicznych spekulacjach Godeschalka i Paschazyusza Rádberta, nastąpiła straszna cisza; ale nowy rozwój społeczny w XI w. wyrwał i myśl ludzką z beczynnej apatii: powstają wszędzie szkoły, sławni nauczyciele zbierają na około siebie licznych słuchaczy, którzy ich pomysły dalej rozwijają i niebawem wszczął się prąd tak gwałtowny, że o mało nie uniósł ze sobą kościół i chrześcijaństwo, które mu dały początek. *Berengar* zakłada szkołę w Tours i zaczyna dogmat eucharystyi, ale zaraz stawia naprzeciw szkoła w klasztorze Bec i jej naczelnik *Lanfranc* wywraca herezyą Berengara. Niebawem podnosi się *Roscellinus*, a przenosząc wnioski jednostronnej filozofii do teologii, podkopuje dogmat Trójcy Ś; ale i przeciw niemu stawia kościołowi nowy obrońca: *Anselm* S. go zwycięża, jak niegdyś mistrz jego *Lanfranc* zwyciężył Berengara. Walki te świadczą o gorliwości, z jaką rozbiegano kwestye metafizyczne, o zapale i światłości, z jaką do nich przystępowano, albowiem chodziło o sam byt chrześcijaństwa. Przecież walki te były wstępem tylko do większych jeszcze, były zapowiedzią tylko daleko szerszego i burzliwszego życia duchowego, które rozciąga się w wieku XII. Uosobieniem tego życia, głównym jego punktem zbornym, z którego na wsze strony rozchodzą się najdziwniejsze promienie, jest *Abelard*, nieśmiertelny kochanek *Heloizy*.

2. *Młodość Abelarda, studia filozoficzne i teologiczne, walka przeciw istniejącym szkołom* (1). Piotr Abelard uro-

(1) Kształcąc żywot Abelarda opierałem się głównie na auto-biografii którą zostawił potomności pod tytułem: „*Historia calamitatum mearum*,”

dził się roku 1079 w pobliżu miasta Nantes, na samym krańcu Bretanii, we wsi Pallet (Palais), gdzie dzisiaj jeszcze obok starożytnego kościoła widać ślady obronnego zamku. Ojciec jego Bèrengar był panem zamku. Dziecko od pierwszych lat odznaczało się wielkimi zdolnościami, łatwém mianowicie pojęciem, co ani w rodzinie jego, ani w kraju owym nie było niezwykłym zjawiskiem (2). Ojciec nie stawiał mu

ponieważ nie obejmuje ostatnich lat jego, wypadło ją uzupełniać sławnymi listami kochańców, napisanymi cokolwiek później, oraz szczegółami, zawartymi w listach św. Bernarda. Ostatnie chwile Abelarda opisuje list opata Piotra z Cluni do Hełoiży, które to źródła, oraz wiele innych przełożonych na język francuzki przez p. Oddoul, przyłączono do studjum: *Abailard et Héloïse, essai historique par M. et Mme Guizot. Paris 1864.* Wspólna ta praca małżonków Guizotów obok wielkich zalet nie jest wolną od jednostronnych poglądów, które są niezbędnym wynikiem protestanckiego racjonalizmu. Najobszerniejszą monografią o filozofie, którym się obecnie zajmujemy, wydał *Charles de Remusat* pod tytułem: „*Abélard*” w dwóch tomach w Paryżu 1845 r. Autor opisał żywy i przygodny bohater w najmniejszych szczegółach, rozbiiera skrupulatnie wszelkie jego myśli filozoficzne, teologiczne, etyczne; wykład często nużący rozwlekłością swoją, myśli czasem dosyć powszednie, styl błady choć staranny, a tu i ówdzie retoryczno-sentymentalny, jak wielu innych panów de l'institut. Z nowszych historii filozofii wymieniamy znakomite dzieło Stöckl'a profesora w Monasterze: „*Geschichte der Philosophie des Mittelalters*” w 3 tomach, w Moguncyi 1864—1867, w którym to dziele Abelard doczekał się obszernego, prawie bezstronnego a w szczegółach dokładnego rozbioru. Z wszystkich prac tych, jako i z innych, skorzystałem bardzo wiele w zreczowaniu nie jednej zawilój myśli, nie jednej zagadkowej subtelności, które napotyka czytelnik w pismach Abelarda, choć one tam mniej liczne niż u innych tegoż czasu pisarzy. Dawniej znaliśmy tylko jego prace teologiczne i etyczne, mianowicie „*Introductio in theologiam*,” „*theologia christiana*” i „*Sic ite ipsum s. ethica*,” co do filozoficznych przekonań autora byliśmy wskazani na relacje z drugiej ręki, znajdujące się czy to w pismach uczniów jego, lub też w polemikach przeciwników. Cousin nadzwyczajnie wyświadczył miłośnikom filozofii przysługę, wydobywszy na jaw liczne rozprawy dyalektyczne sławnego myśliciela, a poprzedził je uczonym wstępem o rozwoju nominalizmu i realizmu podczas pierwszych wieków scholastyki, oraz o stosunku, w jakim Abelard do tych dwóch szkół pozostawał; wstęp ten odznaczający się trafnością sądów i jasnością stylu, pozostanie na zawsze wzorem dobrej ekspozycji. Zob. *Ouvrages inédits d'Abélard. publiés par M. Cousin. Paris 1836.*

(2) Żeby słów tych nie uważano za przesadne, przypominamy czytelnikom, że podówczas w Bretanii i kilku przyległych prowincjach szereg celtycki bardzo czystym się zachował; główną zaś cechą celtyckiego (galijskiego) rozumu było śmiałość, przed żadną ostatecznością nie wzdry-

żadnych przeszkód w rozwoju umysłowym, gdyż stary wojak sam chętnie do książek zaglądał i w dzieciach to samo podniecał zamiłowanie. Nie dziw więc, że młody Piotr taką powziął chęć wiedzy, iż nie mając spełna lat szesnaście całe życie swoje oddać naukom postanowił; zrzekłszy się więc na rzecz braci majątku i praw starszeństwa, opuścił dom ojcowski, ażeby poznać sławnych nauczycieli, ażeby pod nimi się kształcić a w danym razie mocować się z nimi w dyalektycznych zapasach. Były to czasy rozkwitającej rycerskości, tłumy wybierały się do Ziemi świętej, ażeby odzyskać grób Zbawiciela, ale wielu jechało tam, wiedzionych żądzą sławy, ażeby w niezwykłych przygodach dowieść hartu duszy i silnej dłoni. Ta chęć wynajdywania niebezpieczeństw i sławnych przeciwników, z którymi warto było zmierzyć się w gorącej rozprawie, opanowała nie tylko rycerzy, uczeni także przenosili się z miejsca na miejsce, ażeby rozgłośnych słuchać mistrzów, a pokonać mniej zdolnych. Wśród tej wędrówki swojej spotkał się Abelard prawdopodobnie z Roscellinem, sławnym przewodzcą nominalistów, który strącony wtedy z świetnego stanowiska, jakie zajmował niegdyś w szkole w Compiègne, wyklęty przez kościół za niebaczone innowacye, ukrywał się starannie i tylko potajemnie zasady swoje wygłaszał. Abelard zasad tych nie przyjął, zastanawiając się nad nimi, znałazł je niedorzeczne, jednakże poznanie jednej odnogi scholastycznej filozofii wyrobiło w nim samodzielność sądu i wprawę dysput dyalektycznych (3). Tak przygotowany

gające się rozumowanie. Lub czyż to nie więcej, ino przypadek ślepy, że tylu sławnych czy to herezjarchów odważnych, czy to subtelnych filozofów urzodziło się w stronach, gdzie niegdyś przeważała celtycka narodowość?.... Wymieniamy: Pelagiusza, Jana Szkota Erygenę, Berengara, Roscellina, Duns Szkota....., Descartes'a....., Renan'a....., a pamięć czytelnika uzupełni z łatwością ten szereg bystrzych myślicieli.

(3) *Roscellinus*, rodem z Bretanii, był kanonikiem w Compiègne i głową sławnej podówczas szkoły nominalistów. Abelard nie słuchał wykładów jego, gdy w pełnej chwale przewodniczył szkole swojej, gdyż miał zaledwo lat trzynaście, gdy niespokojny kanonik uległ polemice św. Anzelmowi i soborowi w Soissons r. 1092. Charakter to był dumny i uparty, jak Bratończycy wszyscy, Ciel prawdziwy ze krwi i z natury, skory do zaczepki, a wszelkie zdanie doprowadzający odważnie do ostateczności. Potępiony w Soissons przenosi się do Anglii, ale główny przeciwnik jego, Anzelm S. za nim tam dotąd pośpieszył, z opata w Bec

przybył do Paryża w dwudziestym roku życia, gdzie wtedy panował wyłącznie *Wilhelm z Champeaux*, naczelnik szkoły katedralnej przy Notre-Dame; uchodził za głowę, za ojca nawet realizmu i za pogromcę nominalizmu, którego uosobieniem był wspomniany Roscellinus. W poczet uczniów Wilhelmowych zapisał się Abelard, a dla bystrego rozumu i miłej powierzchowności z razu serdecznego doznał przyjęcia. Przecież Bretończycy nie znoszą długo jarzma powagi: Abelard chętnie wszczynał dysputy, z których mistrz nie zawsze wychodził zwycięzcą, w skutek czego stał się nieznośnym; a chociaż i nauczyciel i współuczniowie dawali mu jawne nieżyczliwości swojej dowody, nie poprawił się, lecz śmiałość swoją tak daleko posunął, że nie mając spełna lat dwudziestu dwóch (4), sam mimo intryg Wilhelma, szkołę otworzył w Melun, podówczas królewskiej stolicy. Już po pierwszych wykładach powszechną na się zwrócił uwagę (r. 1102), coraz więcej przybywało słuchaczy, a po kilku miesiącach urok imienia jego zagrażał na dobre sławie dawnego nauczyciela i dawnych jego współuczniów. Wtedy szaleńcza upojony przenosi on szkołę do Corbeil, ażeby bliżej Paryża, rywala skuteczniej trapić; jednakże gdy go bezustannosc pracy i gorączka dysput przyprawiły o chorobę, porzucił katedrę i do ojczystej ziemi powrócił.

Tymczasem rywal jego Wilhelm postanowił wstąpić do klasztoru, nad czem przyjaciele jego bardzo się unosili, przeciwnicy zaś, nie bez słusznój przyczyny utrzymywali, że raczej widok kościelnych dostojęństw, niż pragnienie chrześcijańskiej doskonałości do tego kroku go skłoniły. Poniekąd mieli racyą, gdyż większość ówczesnych prałatów pochodziła z klasztorów, jakby z doskonałej przygotowawczej szkoły: wielu papieży, więcej jeszcze kardynałów i biskupów wstąpiło na najwyższe dostojęstwa wprost z cienia klasztornych

zostawszy arcybiskupem w Canterbury. Mimo groźnój jego powagi, Roscellinus uczy dalej, zaczepia nawet całe angielskie duchowieństwo, krytykując jego lekkomyślne, rozwiozłe obyczaje. Przed ogólnem oburzeniem chroni się napowrót do Francji, gdzie coraz więcej z rokiem każdym tonie w zapomnieniu; poznał go wtedy Abelard wraz z nauką jego i znalazł ją niedorzeczną, jak sam zapewnia. Cousin, *Ouvrages inédits*. str. 471. Zob. także § 3 naszej rozprawy.

(4) Zob.: Remusat, *Abélard*, tomu Igo str. 15 i przypisek.

murów; fakt ten i na samym Wilhelmie się sprawdził. Od dawszy więc szkołę katedralną jednemu z uczniów swoich, zamieszkał pod samym Paryżem, obok stariej kaplicy, gdzie zawiązawszy nową kongregacją dał początek sławnemu opactwu ś. Wiktora. Mimo to nie rozstał się z nauczycielskim zawodem, na usilne prośby licznych swoich przyjaciół wykładał dalej filozofią i teologią. Stało się to około r. 1108.

Wtedy pewnego dnia ujrzał na nowo Abelarda u stóp swoich siedzącego, który wrócił z ustaloną wiedzą i wytrawnymi myślami, gdyż nie napróżno przepędził lat kilka w samotności. Jeżeli niegdyś w dwudziestym roku życia mistrza swego niewczesnymi pytaniami wprowadzał w kłopot nie mały, dzisiaj ani zamiaru nie miał, ani chęci przysłuchiwać się w milczeniu frazesom świętym, ale pozbawionym logicznej podstawy. To też dawne spory odżyły na nowo, ku rozpaczowi nauczyciela, a zdumieniu słuchaczy; ponieważ cała zaś sława Wilhelma polegała na jednostronnym realizmie, który wyrobił sobie w polemice przeciw również jednostronnej nauce nominalistów; Abelard zażepił najistotniejsze zasady realizmu, a ztąd walka na śmierć. Bo Wilhelm bez realizmu niczem nie był; kilka jednostronnych przesadnych aksjomatów, przybranych w kwiaty pięknej wymowy, kilka ognistych namiętnych wycieczek przeciw nominalistom, oto cała duma i sława jego. A tu nieznośny Abelard wykazywał z nieubłaganą jasnością, że cały realizm Wilhelma na sprzecznościach się opiera i nie zdoła wytrzymać sumienniej krytyki. Wilhelm z razu się bronił, widząc jednak, że obrona nie bardzo mu się wiedzie, że uczniowie coraz więcej przechylają się do Abelarda, zdobył się na ustępstwa: ale ustępstwa w filozofii to samo znaczą, co przegrana; Wilhelmore zresztą nie były bardzo szczęśliwe, gdyż zdanie rażące fałszywością swoją, ale jasne, zastąpił mniej jasnym, prawie niezrozumiałem (5).

(5) Prace filozoficzne Wilhelma zaginęły, możemy więc tylko sądzić o mniemaniach jego podług słów Abelarda. Najprzód wykładał stanowczy realizm, że jednostki o tyle tylko istnieją o ile udział mają w pojęciu ogólném rodzaju, które to pojęcie jest ich wewnętrzną treścią, a wszystko co jednostkę stanowi i ją od drugiej wyróżnia, jest tylko przypadkowym dodatkiem — *eandem essentialiter rem* (t. j. universale, ogólne pojęcie rodzaju, gatunku i t. p.) *simul singularis suis inesse individuais; quorum quidem nulla esset in essentia diversitas, sed sola multitudine accidentium*

czém oczywiście sprawy swojej nie poprawił. Albowiem przesadna jednostronność, byle śmiało i pięknie wyrzeczona więcej popłaca, niż chwiejna, dwuznaczna oględność; nie dziw więc, że młodzież ujrzawszy klęskę podziwianego dotąd meża, przeniosła się do jego pogromcy. Abelard po zwycięstwie opuścił klasztor S. Wiktora, ażeby osiąść w Paryżu, gdzie professurę dzierżył dawny uczeń Wilhelma; przeświadczony o niedołęztwie swoim odstępował on Abelardowi katedrę, sam zostawszy jego słuchaczem, i tak młody filozof ujrzał się u celu życzeń swoich.

Ale zazdrość nie zasypia nigdy. Wilhelm nie mogąc się pogodzić z nicością, w którą wtrącił go Abelard, schwycił się środka bardzo pewnego: logiki nie miał za sobą, ale miał władzę i po nią sięgnął. Posiadając jeszcze patent naczelnika szkół paryzkich, przybywa do miasta, składa uroczyste tego, który odstąpił katedrę swoją Abelardowi i miejsce jego obsadza jednym ze stronników swoich. Wtedy Abelard, ustępując przemocy, wyniósł się na nowo do Melun, gdzie na królewskim dworze liczył nie jednego opiekuna i gdzie go gorliwie popierano z niechęcią ku sławnemu Wilhelmowi; na przesiedleniu tém nie ucierpiały ani sława, ani powodzenie nowej szkoły. Wilhelm przecież nie pozostał długo w Paryżu; nasłuchawszy się ostrych przymówek, że z uszczerbkiem klasztornych obowiązków, wciąż do świeckich sporów się miesza, wyjechał do odległego klasztoru, o czém dowiedziawszy się Abelard podsunął się ze szkołą swoją pod sam Paryż i stanął na górze św. Genowefy; ztamtąd niepokoił

varietas—myśl fałszywa, ale jasna. Później myśl swoją w ten sposób odmienił, jakoby rodzaj lub gatunek (universale) nie stanowił wewnętrznej istoty i treści każdej jednostki, nie mieścił się w niej essentialiter, lecz tylko indifferenter. Tak bowiem Cousin i inni filolodzy czytają zamiast individualiter, która to waryanta byłaby w ustach Wilhelma czystym nonsensem. Tłumacząc zaś najżywczej słówko indifferenter, mamy myśl taką: człowiek pojedynczy, up. Sokrates, o ile jest Sokratesem, niema nie wspólnego z żadnym innym człowiekiem, zatem nie będzie w nim nic, coby również się mieściło w kimś innym, czyli, coby dla obudwóch było obojętném (indifferenter); ale Sokrates jest także człowiekiem, a jako człowiek posiada on przymioty i cechy, które w innych także jednostkach indifferenter t. j. bez różnicy się mieszczą. Myśl ta ma tę niedogodność, że nie oznacza, co jest właściwém jednostce, a co należy do rodzaju całego, bo czemuż Sokrates obrany z człowieczeństwa?

szkołę katedralną i przeciwników swoich, trzymając ich jakoby w obłęzieniu, a szyki ich przerzedzały się z dniem każdym. Wilhelm dowiedziawszy się o bezustannych klęskach nauczyciela przezeń ustanowionego, wraca z ustroni swojej do opactwa ś. Wiktora, ażeby powagą swoją ratować szkołę katedralną. Ale bliskość ta ją zgubiła. Katedralny nauczyciel miał obok licznych wad jedną zaletę, czytał bardzo pięknie, a ztąd miał zawsze kilkunastu słuchaczy, gdyż w owych czasach nielicznych manuskryptów, czytywano wspólnie rzadkie dzieła. Teraz i reszta, co przy nim wytrwała, przeniosła się do Wilhelma, który choć upadły, pozostał sławną i świetną ruiną; zamknięto więc szkołę katedralną i odtąd dwa tylko stały naprzeciw sobie obozy: postępowi w długich nieprzejrzanych szykach na górze ś. Genowefy pod sztandarem Abelarda, a mała garstka wiernych realizmu zwolenników zamknięta w murach ś. Wiktora. Zwycięstwo od samego początku walki nie było wątpliwem, to też Abelard zbyt skromnie się wyraża, przytaczając wiersz Owidyusza: jeśli spytacie mnie o koniec walki, odpowiem wam jak Ajax, że mnie nie zwyciężył.

Przecież pochód Abelarda raz jeszcze został przerwany. Ojciec jego przy schyłku życia wstąpił do klasztoru, a matka jak zwyczaj ówczesny wymagał, postanowiła iść za przykładem męża. Jednakże przed rozłączeniem się ze światem chciała raz jeszcze oglądać twarz syna swego, a ten do niej pośpieszył, żeby czule pożegnać ją na zawsze. Dopełniwszy smutnego obowiązku, nie wrócił do Paryża choć szkoły tam opustoszały i główny rywal się usunął; Wilhelm bowiem obrany biskupem w Châlons-sur-Marne, odjechał do swojej diecezji (6). Zdaje się, że przykład Wilhelma nie

(6) Wilhelm z Champeaux zarządzał biskupstwem Châlons-sur-Marne od r. 1113 aż do pierwszych miesięcy r. 1121, i położył znakomite zasługi w diecezji swojej. Będąc umysłem raczej błyszczącym niż gruntownym, charakteru bardzo wątpliwego i samolubnego, odkupił on wszystko co zgrzeszył przeciw filozofii i przeciw ludziom, szczerem zajęciem się nowemi obowiązkami. Będąc czytany w księgach zakonu i ojciec św. wykladał, już będąc biskupem, teologią, którą znał lepiej od filozofii, a berło kościoła swego piastował on nawet ku zadowoleniu surowego św. Bernarda, z którym aż do śmierci łączyła go przyjaźń najściślejsza. Opatrzność dała mu wszystko, za czem zwykli śmiertelnicy wzdychają:

pozostał na dalszy los Abelarda. On dotąd był sławnym dyalektykiem, filozofem nawet, ale konieczność czasu czego innego wymagała. Filozofia była tylko wstępem, prawda że niezbędnym, ale wstępem tylko do teologii; tylko znajomość do teologii zapewniała wpływ stały i rozległy na duchowieństwo, czyli na całą ówczesną inteligencją, a co ważniejsza, ona otwierała drogę do kościelnych zaszczytów, dawała możność wszechstronnego działania. Abelard, który zawsze marzył o świetnej przyszłości, postanowił naukę tę sobie przyswoić i w tym celu oglądał się za przewodnikiem. Górował wtedy sławą i liczbą słuchaczy nad wszystkimi stary Anzelm z Laonu, uczeń ś. Anzelma nieśmiertelnego prymasa z Kanterbury, a nauczyciel Abelardowego rywala Wilhelma, który sławę swoją teologiczną po części jemu zawdzięczał. Abelard nie wahał się zaczerpnąć z tak sławnego źródła. Przybywa więc do Lâon i z zadziwieniem słyszy starca mówiącego płynnie, ale bez treści, zastępującego oryginalność pomysłów długoletnią mozolnie nabytą rutyną. Podziwiany przez zwyczajnych słuchaczy, nie umiał sobie dać rady z nikim, co innego był zdania; ile razy uczeń zapukał do drzwi jego prosząc o wyjaśnienie zawiłości jakiej, wracał zwykle z ciemniejszym pojęciem, niż przyszedł. Zapóźno przekonał się Abelard, że starzec ten zdaleka tylko wydawał się drzewem z potężną koroną, ale wśród bujnych liści tej korony szukał przychodzień napróżno owoców. Cóż więc dziwnego, że znalazł wykłady jego z razu nudnemi, potem nieznośnemi i że coraz rzadziej na nie uczęszczał. Współuczniowie którzy nie dzielili antypatyj jego do starego Anzelma, czynili mu przymówki, a gdy Abelard oświadczył, że nic łatwiejszego nad wykład teologiczny, ponieważ każdy rozsądny człowiek mając biblią przed sobą, takową tłumaczyć potrafi: schwycili go za słowo i chcąc ukarać jego zarozumiałość poprosili go o wykład prorocstwa Ezechiela, które wówczas uchodziło za jeden z najtrudniejszych problemów exegetyki. A gdy mu chcieli czas dać na przygotowanie się należyte,

miał wysokie dostojęństwo, względy u papieża, sławę niemalą, a przyjaźń największego świętego z owego czasu. Przeciwnikom jego dostał się los inny: przez całe życie prześladowani, wszystkim podejrzani, umarli samotni, prawie w nędzy i prawie zapomnieni. A przecież mieli niesłychanie więcej odeń gieniuszu, ale los kapryśnym jest i dziwnym toczy się kołem.

oświadczył Abelard, że już nazajutrz zaspokoi wszelkie ich życzenia. Następnego dnia zebrało się w istocie kilku ciekawych, a gdy Abelard wywiązał się najświetniej z obietnicy swojej, przybywało słuchaczy coraz więcej i tak młody filozof, który nigdy przedtém nie zajmował się teologią, objaśniał z wielkiem powodzeniem ciemne proroctwo Ezechiela.

Stary Anzelm oddawna już nie bardzo łaskaw na Abelarda, gdy o tém się dowiedział, oburzył się wielce, a podniecali oburzenie jego starsi Abelarda współuczniowie, którzy przed jego przybyciem uchodzili za genialnych teologów, a teraz niknęli zupełnie w obec nieteologa. Przedkładali więc Anzelmowi, że pokątne wykłady zarozumiałego przybysza pociągną za sobą wielkie niebezpieczeństwo; że łatwo omylić się może, on, co tak niedoświadczony w teologicznych kwestiach, że może w Piśmie ś. co innego wyczytać niż kościół, a wtedy zarzut herezyi spadnie na mistrza, którego cieniem się zaskania. Anzelm, który i tak miał dosyć powodów nie lubienia Bretończyka, przestraszony na dobre, rozkazał mu zaprzestać wykładów. Wtedy wyjechał Abelard do Paryża, gdzie go oczekiwano oddawna: objąwszy professurę katedralną przy Notre-Dame panował odtąd sam jeden w mieście, które było już wówczas ogniskiem oświaty dla całego Zachodu. Abelard ciągnąc dalej objaśnienie teologiczne nad Ezechielem i wykładając filozofię, w której nie miał na on czas równego sobie, otoczony tysiącami słuchaczy, stał się niebawem ozdobą Paryża, dumą całego kraju.

3. *Abelard professorem w Paryżu, działalność jego filozoficzna, obraz średniowiecznej filozofii za jego czasów.* Było to w roku 1113, Paryż był wtedy jeszcze mały, skupiony cały na wyspie, gdzie dzisiaj jeszcze sterczą ciemne mury starego zamku Kapetyngów, gdzie wznosi się Notre-Dame i pałac sprawiedliwości. Ale wrzące życie nie mogąc się już pomieścić na wyspie, wylewało się na przeciwległe brzegi Sekwany: na prawym wznosiły się domki kupców lombardzkich, zwabionych nadzieją zysku, na lewym zamieniły się obszerne błonie w prawdziwie łacińską krainę: pełno tam było uczonych zakładów. Na wzgórzu ś. Genowefy (Sainte-Geneviève) sławne opactwo, gdzie Abelard podczas burzliwych sporów młodości nieraz doznał gościnnego przyjęcia; nie daleko ztamtąd klasztor ś. Wiktora ze szkołą swoją, za-

łożoną przez Wilhelma, tamże opactwo Saint-Germain des Prés, a w cieniu i pobliżu tych poważnych zakładów wznosiły się biedne chaty, w których mieszcili się tłumy młodych i starych przybyszy chciwych nauki. Trzeba było widzieć w święta i niedziele tę łacińską gminę, jak nad Sekwaną po szerokich łąkach rubasznie i ochoczo bawiła się pod dozorem starszych. Ten zaś którego słowa siłą magnesu przyciągały wszystkie te tłumy z odległych krajów, przebywał w ciemnych krużgankach starego budynku obok katedry. Tam on mieszkał i uczył. Poznawano go po wyniosłej postawie i pięknym obliczu, po dumnym chodzie i gustownym stroju; po milczącym rozstępowaniu się tłumów, gdy przechodził i po szeptach głośnych, które wznosiły się za nim. Miał wtedy lat trzydzieści kilka; myśli jego łączyły polot młodzińczy z wytrwałym sądem męża, jego wymowa niezrównana, nawet w późniejszych czasach wspomniano o niej z podziwem; jego wykłady wolne od wszelkiej szkolnej oschłości, gdyż najtrudniejsze dyalektyczne wywody uprzyjemniał obrazami rzeczywistości i światowym dowcipem lub też przeplatał je wyjątkami z najcelniejszych poetów Rzymu.

Dzisiaj gdy tyle wieków nas dzieli od średniowiecznych myślicieli, dziwimy się ich sławie i często pojąć nie możemy, na czym ona właściwie polega: w ich dziełach pełno rzeczy niezwykłych, niezrozumiałych; pełno tam myśli dziwaczniejszych niż ciosane twarze na ówczesnych katedrach, pełno tam dowodów więcej zawieszonych w powietrzu, niż gotyckich wieżyc ostrołuki, o których także niesposób czasem wykazać na czym one zawisły. Gdy zajrzemy do księgi jakiej sławniej z owych czasów i śledzimy w niej długie, mozolne dedukcye, widzimy na pierwszy rzut oka mglistą pomrokę, w której nic zgoła nie można rozpoznać; tak samo rzeźby okrywające wieżę gotycką wydają się szarą, jednolitą masą, w której dla gołego oka nikną kształty szczegółowe... Kto je pragnie zobaczyć, powinien wznieść się wysoko, a wtedy całą nieraz nagrodę nużącego wdzierania się w górę stanowi twarz jaka uśmiechnięta rubasznie, lub kwiat jaki z kamienia o niezgrabnych liściach i dziwacznym kielichu.... a wtedy pytamy się z niechęcią: na co te mokoły, kiedy tak licha ich zapłata? gdzież sława wychwalanych mistrzów, kiedy po za nieznośnym stylem ukrywają się zbyt często my-

śli zupełnie spaczony? przeć innych sławnych ludzi dzieła łatwo rozumiemy, choć nieraz o tysiąc lat dalej od nas odległe!... Tak na pierwsze wejście... ale uważnie wpatrując się w ten świat dziwny gotyckich wieków, czujemy jak uprzedzenia nasze z wolna znikają, jak serce nasze coraz więcej lgnie do niego, choć zewnętrzność jego tak zimna... Przecież nie staniemy dzisiaj w obronie średniowiecznego ducha, nie wykażemy jak rodzimy plon ten, dziwny kwiat ten, wykarmiony sokami grecko-rzymskiej przeszłości liczne wydał ziarna, z których większość zamieniła się w zielen i dodała świeżości naszemu czasom.... Łatwo nareszcie byłoby nam wykazać, że mądrość średnich wieków nie jest ani zatrzymaniem się, ani cofnięciem w tył ducha ludzkiego, lecz postępowaniem i że postępowi temu zawdzięczamy więcej niż w dumie naszej przyznać chcemy.... jednakże szczupłość ram w które ujęliśmy przedmiot obecny, nie zezwala na taką apologię: dzisiaj tylko na jedno pytanie odpowiemy w krótkości. Abelard był sławnym, liczył uczniów swoich na tysiące, pokonał również sławnych i również wziętych przeciwników: *jaka więc myśl główna była sercem jego systemu? i jakie obalił on zasady, zanim swoim zapewnił panowanie?*

Wspomnieliśmy już kilka razy *realistów* i *nominalistów* oraz spór jaki między nimi się toczył; wspomnieliśmy także, że Abelard walczył przeciw jednym i drugim; wyjaśnienie więc dwóch tych nazwisk da nam odpowiedź na pytanie: czém była filozofia za czasów Abelarda? Po upadku państwa rzymskiego dostało się spadkobiercom jego bardzo mało naukowych zasobów; kilka encyklopedycznych zbiorów, w które wtłoczono naprędce najważniejsze wiadomości, ażeby coś przynajmniej ocalić przed nastającym barbarzyństwem, a z greckiej literatury kilka niezgrabnych tłumaczeń powstałych za ostatnich dni Rzymu. Mężem pośredniczącym najwięcej między starą klasyczną oświatą a barbarzyńcami, jest *Boecyusz*. On to za czasów Wielkiego Teodoryka, gdy coraz mniej było uczonych, a greckiego języka znajomość coraz więcej zacierała się na Zachodzie, przełożył kilka dzieł Arystotelesa i w uczone zaopatrzył komentarze. Na nie szczęście były to najelementarniejsze jego prace logiczne, a te szczęśliwie doszedłszy do czasów Karola W. były jedynym aż do końca XII wieku filozoficznym pokarmem. Oprócz nich

miano książeczkę, którą napisał *Porfiryusz* w III wieku naszej ery, ażeby za wstęp służyła do Arystotelesowej logiki i ułatwiała czytelnikom pojęcie takowej. We wstępie tym rozbiera autor pięć kardynalnych pojęć, będących podstawą wszelkiego myślenia, dwa z nich, rodzaj i gatunek zwróciły na się wkrótce powszechną uwagę. Porfiryusz bowiem zadaje sobie mimochodem pytanie, czy w świecie istnieją rzeczywiście rodzaje i gatunki, czy też jednostki tylko: sam kwestyi nie rozwiązał, ale myśl przezeń poruszona stała się punktem wyjścia, a potem duszą nawet scholastycznej filozofii. Odpowiadano z razu na to trudne pytanie, oglądając się za powagą Boecyusza, ale ten nic stanowczego nie zawyrokował choć się przechylał do mniemania, które rodzajom i gatunkom przyznaje tylko istnienie w jednostkach. Umiarkowana jego odpowiedź mieściła w sobie różne niedostatki, które niebawem na jaw wyszły, a pewna znamionująca ją dwuznaczność dała początek dwom odrębnym szkołom, które rozwijając się jednostronnie i ze sobą walcząc, do wręcz sobie przeciwnych doszły ostateczności (7). Przedmiot sporu

(7) Możemy dzisiaj jasną zdać sprawę o filozoficznej bibliotece Abelarda; rzecz to zajmująca, dowiedzieć się, jakie książki najwięcej odczytali ludzie mieli pod ręką w wieku XII. Nie masz wątpliwości, że zupełnie te same, któremi posługiwały się wieki poprzednie, począwszy od Karola W. gdyż na koniec dopiero XII wieku naukowe zasoby znacznie się zwiększają. Abelard miał tylko Arystotelesa „o kategoriach” i „o interpretacji” oraz „wstęp” Porfiryusza, wszystkie trzy w przekładzie Boecyusza; obok nich cztery samodzielne prace logiczne tegoż Boecyusza (de divisionibus, de differentiis topicis, de syllogismo categorico i hypothetico). Z siedm tych książek czerpał wiek XII całą mądrość swoją logiczno-dyalektyczną i komentował je bezustannie. Sam zaś Boecyusz do pierwszych trzech zestawiał komentarze, nie po jednym, lecz po kilka, dłuższe i krótsze. Porfiryusz zaś w swoim „Wstępie” do pism logicznych Arystotelesa rozbiera pięć pojęć zasadniczych wszelkiego myślenia: genus, differentia, species, proprium, accidens, a mimochodem rzuca pytanie: czy rodzaje i gatunki (nie zaś abstrakcyjne pojęcie „rodzaj, gatunek”) istnieją rzeczywiście: *mox de generibus et speciebus illud quidem sive subsistant sive in solis nudis intellectibus posita sint.... dicere recusabo*. Spór o to toczył się już między platońską akademią a zwolennikami Arystotelesa i przeciągnął się aż do VI wieku po Chr. Średnie wieki o sporze tym różniącym najznakomitszych greckich filozofów nie wiedziały, miały tylko frazes Porfiryuszowy, który był niejako jego zresumowaniem. Pierwszy na ważne pytanie odpowiedział Boecyusz: *cogitantur universalia* (t. j. ogólne pojęcia rodzajów, gatunków i t. d.) *nihilque*

ujęto mniej więcej w tę formę: czy rodzaj niczém nie jest ino abstrakcją rozumu oderwaną od pewnej liczby podobnych do siebie jednostek? czy téż pojęciu temu odpowiada rzeczywistość jaka, istność jaka w sobie jedna obdarzona udziałną substancją i dawniejsza od ziemskich jednostek, które tylko jęj znikomym, doczesnym obrazem. Pytano się np. co znaczy słowo „człowiek,” że ono cały rodzaj ludzki oznacza, o tém nikt nie wątpił, ale co do wewnętrznej jęgo wartości i prawdziwości były zdania podzielone. Jedni twierdzili, że rodzaju ludzkiego wcale niema, że tylko ludzie pojedynczy istnieją, których my ku większej wygodzie jedném oznaczamy słowem, nie mogąc każdego zwać po imieniu. Pojęcie to powstałe przez zesumowanie podobieństw znachodzących się w jednostkach, istnieje tylko w myśli naszęj, w świecie zewnętrznym nie odpowiada mu żadna rzeczywistość, tam jednostki tylko, jak Sokrates, Platon, Arystoteles. Na to odpierali przeciwnicy: rzecz się ma przeciwnie, gdyż od jednostki można odłączyć wszystko czém się od innych

aliud species esse putanda est nisi cogitatio collecta ex individuorum.... similitudine; genus vero cogitatio collecta ex specierum similitudine.... Na inném miejscu mówi: genera et species subsistunt quidem alio modo, intelliguntur vero alio modo: et sunt incorporalia, sed sensibilibus juncta. ... Takie rozwiązanie kwestyi, dokonane w duchu Arystotelesowym, panowało powszechnie w IX i X wieku. Szkoła Rhabana Maura (w IX wieku) mówiła: nihil aliud est genus quam substantialis similitudo ex diversis speciebus in cogitatione collecta. Tak samo bezimienny glossator z Xgo wieku: genus est cogitatio collecta ex singularum similitudine specierum. Jednakże równocześnie odzywali się tu i owdzie zwolennicy platonizmu: universalia praeter individua subsistere. Dwa te przeciwne sobie mniemanie starły się gwałtownie, gdy Roscellinus, najkonsekwentniejszy z nominalistów, głosił: universales substantias (t. j. pojęcia ogólne) non esse nisi flatum vocis. S. Anzelm: de fide trin. Naprzeciw niemu broni Wilhelm z Champeaux jednostronnego realizmu: erat autem in ea sententia de communitate universalium, ut eandem essentialiter rem totam simul singulis suis inesse adstrueret individuis; quorum quidem nulla esset in essentia diversitas, sed sola multitudo accidentium varietas. (Abel. histor. calam.). Przeciw dwóm tym mniemaniom walczył Abelard. Pozytywne mniemanie jęgo najlepiej uwydatnione w zdaniach: speciem dico esse non illam essentiam hominis solam, quae est in Socrate, vel quae est in aliquo alio individuorum sed totam illam collectionem ex singulis aliis hujus naturae conjunctam. Quae tota collectio, quamvis essentialiter multa sit, ab auctoritatibus tamen una species, unum universale, una natura appellatur, sicut populus, quamvis ex multis personis collectus sit,

odróżnia; można Platona np. lub Sokratesa pozbawić wszystkich cech osobistych, które pierwszego czynią Platonem a drugiego Sokratesem a mimo to pozostanie jeden i drugi człowiekiem; nie jednostki więc, lecz istność rodzajowa jest czémś rzeczywistém; ile razy do niej przyłączą się znamiona specjalne, powstanie nowa istota, nowy osobnik, ale osobniki giną podczas gdy wewnętrzna treść ludzkości pozostaje ciągle tą samą i w coraz nowych objawia się jednostkach. Rodzaj więc nie jest próżną rozumu abstrakcją, marném słowem, lecz realną niezależną istnością, która u Boga była zanim był świat i która urzeczywistniając się w świecie przybiera się w niezliczone jednostki, niby w szatę doczesną. Taka mniej więcej myśl główna dwóch szkół sobie przeciwnych; zgody nie mogło być między niemi: pierwsi uważając pojęcie za słowo tylko, za konwencyonalny dźwięk mowy, zwali się *nominalistami* a drudzy przekonani, że każdemu pojęciu odpowiada substancja jakaś, istność jakaś rzeczywista, niezależna, różniąca się od znikomych na świecie je-

unus dicitur. Wyrzeczenie to trzeba uzupełnić wyciągami i sprawozdaniami p. Remusat, które daje z niewydanych dotąd rękopismów na nie-szczęście tylko po francuzku. Abélard, tom II str. 105. Car ce n'est pas le mot, la voix, mais le discours, *sermo*, c'est-à-dire l'expression du mot, qui est attribuable à divers, et quoique les discours soient des mots, ce ne sont pas les mots, mais les *discours* qui sont *universels*. Tamże, str. 107. Abélard attache donc un grand prix à distinguer le discours ou l'oraison, *sermo*, c'est-à-dire l'expression ou le mot en tant qu'expressif, de la simple voix et il croit dégager une vérité importante n'attribuant l'*universalité* qu'au *discours*. Or ici le discours étant surtout considéré comme expression de l'idée, il s'ensuit que la doctrine qui nous occupe, est plus encore *le conceptualisme* que le nominalisme. Tamże, str. 109: les genres et les espèces subsistent en ce sens qu'ils se rapportent à des choses subsistantes, car c'est par métaphore seulement que les philosophes ont pu dire que ces universaux subsistent. Au sens propre, ce serait dire qu'ils sont substances et l'on veut exprimer seulement que les objets, qui donnent lieu aux universaux, subsistent. Warto także powtórzyć, co powiada uczeń Abelardowy, Jan z Salisbury, Metalogicus, ks. II, rozdz. 17: Alius ergo consistit in vocibus (licet haec opinio cum Roseellino suo fere omnino jam evanuerit): alius sermones intuetur, et ad illos detorquet, quidquid alicubi de universalibus meminit scriptum. In hac autem opinione deprehensus est peripateticus Palatinus (rodem z Palais czyli Palais) Abelandus noster, qui multos reliquit et adhuc quidem aliquos habet professionis bujus sectatores et testes. Zobacz nareszcie znakomity pod każdym względem wstęp Cousin'a w „Ouvrages inédits d' Abélard.”

dnostek, zwali się *realistami*, gdyż obdarzali pojęcia realnością.

Dwa te mniemania, które od czasów Platona i Arystotelesa zajmowały żywo starożytnych filozofów, byłyby obok siebie istniały długo zużywając się w dyalektycznych sprzeczkach, gdyby nominalizm nie był wystąpił z zacisza szkoły na widownię szerszą. Pierwszy który na to się odważył w XI wieku, był wspomniany już Roscellinus kanonik z Compiègne; uchodzi on zwykle za ojca nominalizmu, choć go nie stworzył, tylko zasady jego otwarcie wypowiedział; pragnąc zasady swoje wprowadzić do teologii i uczynić je niejako probierczym kamieniem wiary chrześcijańskiej, przystąpił do najtrudniejszego z dogmatów, ażeby go rozjaśnić światłem nominalizmu. Jeżeli istnieją tylko jednostki, a rodzaj niczem ino abstrakcją myśli naszej, wtedy między słowem „Bóg” a trzema osobami Trójcy zachodzi ten sam stosunek, co między słowem „człowiek” a ludzkiemi jednostkami. Człowiek niczem ino rozumu abstrakcją, rzeczywiście istnieją tylko ludzie, tak samo Bóg abstrakcją tylko, a rzeczywistością trzy Boże osoby, które również mało mają ze sobą wspólnego jak osoby ludzkie. Są to konsekwencye nominalizmu, miejsce jednego Boga zajęły trzy Bogi; monoteizm rozwiązał się w tryteizm. Na to wielkie niebezpieczeństwo odpowiedział kościół uroczystem potępieniem, wyrzeczonem na soborze w Soissons r. 1092 a ś. Anzelm oskarzyciel Roscellina, dziełem de trinitate, które było manifestem chrześcijaństwa na przeciw innowacyi kanonika z Compiègne. Zresztą nie zaprzestano na tém; chciano podciąć korzenie nauki wiodącej do tak zgubnych wniosków. Ale walka przeciw jednostronności wyradza zwykle nową jednostronność, i tak Anzelm ś. w zbyt gorliwej polemice doszedł do skrajnego realizmu, że nie tylko rodzaje i gatunki, lecz wszelkie przymioty cielesne i duchowe, kolory nawet i znamiona materii, cieszą się gdzieś za światem bytem odrębnym, niezależnym, tak on świat podwoił dodawszy do niego drugi, metafizyczny, mieszczący w sobie tyle istot i istotek, ile tu na ziemi nie tylko gatunków i rodzajów, lecz przymiotów i sił, czy to duchowych czy fizycznych. Przecież Anzelm ś. był lepszym teologiem, niż filozofem, to też polemikę filozoficzną głównie prowadził wspomniany już tak często Wilhelm z Champeaux,

który wydzielił nominalizm z filozofii, jak Anzelm go wykluczył z teologii. I tak na początku XII wieku mamy niedobitki tylko nominalizmu ukrywające się z zasadami swemi, a panuje realizm uosobiony w Wilhelmie. Abelard był dzieckiem duchowném obu szkół: poznał on Roscellina i naukę jego i znalazł ją niedorzeczną, a Wilhelma zmusił do znacznych ustępstw, do zupełnej modyfikacyi systemu. Sam zaś dał początek szkole nowój, która wystrzegając się zarówno i realistów i nominalistów jednostronności, szukała podstawy pewniejszej dla teologicznych spekulacyi. Nadano jej nazwę *conceptualistów*, a nazwa ta wskazuje jaka jej przewodniczyła myśl główna: Nie odmawiała ona gatunkom i rodzajom rzeczywistego istnienia, tylko zamiast przekazać takowe jakiemuś światu metafizycznemu, mieściła je po prostu w ludzkiej myśli uważając je za pojęcia, obejmujące wiele podobnych do siebie jednostek. Oczywiście nie różni się szkoła ta bardzo od nominalizmu, bo jakkolwiek nominalizm wołał, że rodzaj niczem ino słowem, przecież same słowo nic nie znaczy, jeżeli nie ukrywa w sobie pojęcia; dla tego współcześni nie bez słuszności uważali Abelarda za nominalistę a szkołę jego za wyrost nominalizmu. Jednakże mimo tych pokrewnych rysów ma nauka Abelardowa odrębne swoje cechy: prawda, że i dla niej jednostki tylko istnieją, ale rodzaj nie jest ich dowolnym ugrupowaniem ani słowo nie jest konwencyonalnym znakiem; lecz duch ludzki tworzy pojęcia z konieczności, idąc wiernie za wskazówką jednostek, a ztąd pojęcie każde odpowiada układowi i naturze rzeczy przez nie oznaczonej. Jakkolwiek zarzucić można myślicielowi, że chwalebne umiarkowanie które zatrzymało go w polowie drogi, nie jest uzasadnionem w obec surowej logiki, która ostatnich domaga się wniosków, jednakże zasługa jego wielką jest. Więcej krytycznym niż twórczym obdarzony umysłem, zmusił on istniejące szkoły przez szczęśliwą polemikę do znacznych modyfikacyj, a przez to nowe wlał w nie życie, sam zaś z nominalizmu który srogo naonczas prześladowano, ocalił wszystko na co ówczesny stan oświaty zezwalał. Bez niego byłby zwycięzki realizm Wilhelma, nie mając przeciwników popadł z czasem w letarg zabójczy, Abelarda zasługą, że nie dał zasnąć filozoficznej spekulacyi w wieku XII i że z ginącego nominalizmu wyniósł wszystko

co było dobrém i rozsądném i przekazał następny wiek przez co nie mało przyczynił się do przeobrażenia scholastyki w wieku XIV i XV (8).

4. *Abelard i Heloiza, miłość kochanków, rozwiązanie dramatu.* Dzisiaj zimno sądzić o zasługach jego, ważymy obojętnie wszystko, co przemawia za i co przeciw; 600 lat temu, zasługi te były dotykającą rzeczywistością; wylewając się żywymi słowy porывały niezliczonych słuchaczy, którzy chętni wiedzy co rok przybywali do Paryża. Szyki ich odnawiały się bezustannie, a ci co wracali do siedzib swoich, roznosili sławę mistrza po najodleglejszych stronach: wkrótce imię jego stało się rozgłosném, jak żadne podówczas, nie tylko we Francji, lecz na Zachodzie całym. Cóż dziwnego, że młody mędrzec porwany wirem powodzeń, upojony sławą, której nie dzielił z nikim, mógł wtedy wyrzec dumnie, że on jedynym filozofem Ale ludzie wyżsi nie mogą nigdy stanąć w duchowym rozwoju swoim; chwala ledwo nabyta, już ich nudzi i szukają nową. Abelard przyrównywał się czasem do błędnych rycerzy, wyjeżdżających w dalekie strony, ażeby zmierzyć się z głośnymi bohaterami i zmóglszy ich przysporzyć sobie sławy. On także wyjeżdżał niegdyś niby rycerz na staczanie dysput, wiele odbył turniejów umysłowych, wielu przeciwników w piasek powalił. Ale rycerze, gdy już nie było godnych zapasników, wracali do zamków swoich . . . po nagrodę, a znana jest rycerska nagroda. Abelard także stanął u kresu wypraw swoich; przeciwników zabrakło: dzielniejsi ustąpili z pola, jak Wilhelm z Champeaux, lub zgnębieni starością zamilkli na zawsze, jak Anzelm z Lâonu; młodszy, choć niechętni, choć zazdrośni, nie odzywali się, na harc nie wyjeżdżali, woleli czekać chwili, gdy się poślizgnie noga filozofowi, gdy przeciw niemu będą mogli wezwać władzę ko-

(8) Nie chciałbym, żeby mnie źle zrozumiano. Scholastyka upadła przez odrodzenie się grecko-rzymskiej przeszłości, do tego ważnego faktu nie mogły się dzieła Abelarda w niezmierzonym przyczynić. Jednakże przed odrodzeniem się nauk i równocześnie z niem rozpoczyna się fermentacja gwałtowna w samém łonie scholastyceizmu, rozkładająca powagę św. Tomasza i „arabskiego” Arystotelesa. Głównym owocem tej fermentacji nowy nominalizm Wilhelma z Occam, a nie masz wątpliwości, że dzieła Abelarda przyłożyły się znacznie do odnowienia nominalizmu tego w wieku XIV.

ścielną lub świecką.... walczyć z nim nie mieli ochoty. I zrobiło się Abelardowi tęskno i nudno, jak wojakowi, gdy rozpostarł się na około pokój głęboki.... w oklaskach uczniów odkrył straszną jednostajność, w dysputach cześć niewymowną, bo nie było z kim dysputować, a oręż rdzewieje, gdy nie ma potrzeby go dobywać. Prawda, że miał środek skuteczny na nudy, lubił utwory piękna, czem chlubił się odznacza przed współczesnymi; w chwili tęsknoty układał pieśni i wygrywał je na flecie.... ale nie wiedział, kogo opiewać ani dla kogo wiązać tony w smutne melodye.... Trzydzieści kilka lat przeżył, raczej przemyślał.... dotąd sam umysł władał całym jego jestestwem, a żadna burza nie zamąciła pogody tego umysłu.

Żyła wtedy w Paryżu młoda dziewczyna, imieniem *Helioza*, siostrzenica kanonika Fulberta; stryj czule do niej przywiązany nie szczędził żadnych zabiegów, żeby jej dać najświetniejsze wychowanie. Przepędziwszy pierwsze lata w klasztorze, kształciła się w domu stryja, wiedząc życie samotne, wśród nauczycieli i pargaminów. Wykształcenie jej było pod każdym względem znakomitą, a chociaż nie umiała ani po grecku ani po hebrejsku, jak głosili późniejsi panegirycy. gruntowna znajomość klassycznej starorzymskiej literatury, styl naiwny i wdzięczny, który dzisiaj jeszcze czytelnika dziwnie zachwyca, niepospolite wiadomości teologiczne i filozoficzne, głębokie uczucie piękna stawiały Heloizę tak wysoko po nad poziom duchowy kobiet owego czasu, które rzadko czytać a pisać prawie nigdy nie umiały, że nie bez słuszności podziwiano ją niby cud jaki. Miała wtedy najwięcej lat 18, rysy jej nie były rysami wykończoną pięknosci, ale pełne wyrazu i opromienione niewymowną dobrocią, obietnicą poświęcenia bez granic; nadzwyczajny dowcip i mowa żywa, namiętna, były główną cechą uroczej postaci, która już wtedy ukryta jeszcze w zaciszu była głośnie po całym królestwie.... Abelard ją widział... i nagle dziwna tęsknota, która od dawna nim owładła, stała się z niewytłumaczoną, nieokreśloną ściśle oznaczoną i świadomą sobie.... Abelard znalazł przedmiot tęsknoty swojej a przedmiot ten był odtąd jego celem jedynym. Pod dyalektycznym i grammatycznym formalizmem, wśród którego Abelard przepędził najlepsze swoje lata, serce przyci-

chło, ale nie wygasło I zdjęła go miłość niezmierna, tém większa, im później się odezwała; odtąd tylko myśl jedna wypełniała całe jego jestestwo—myśl, jakby się zbliżyć do przedmiotu miłości swojej.

Stary kanonik Fulbert kochał zarówno siostrzenicę i pieniądze, Abelard wiedząc o tém postanowił obiedwie ducha jego poruszyć sprężyny, ażeby osiągnąć cel życzeń swoich. Za pośrednictwem więc przyjaciół zrobił Fulbertowi propozycją ażeby go przyjął do domu swego, zasłaniając się tém, że ani czasu nie ma dosyć ani zmysłu praktycznego, żeby prowadzić własne gospodarstwo. Fulbert mając sobie zostawioną wolność oznaczenia ceny, rachując na niemałe ztąd korzyści pieniężne, przekonany zresztą, że Heloiza nie mało odniesie korzyści z obcowania z filozofem, większe, niż z płatnych nauczycieli, do tego stopnia dał się myśli téj opanować, że lękając się by czasem Abelard nie zaniechał zamiaru, sam począł usilnie na niego nalegać, ażeby zamieszkał w jego domu. „I tak, powiada Abelard, najprzód dach nas złączył, potem serce.” Ciekawą jest dowiedzieć się z ust Heloizy, jakie pierwsze wrażenie na niej zrobił przyszedłszy jój małżonek; wypowiadała się z tego wiele lat później, gdy długie cierpienia i surowa abnegacya zakonniczy stanęły między nią a błogimi chwilami młodości. Z wielkiem rozrzewnieniem wywołuje z pamięci rysy tego, który niegdyś był jój bogiem i światem: „Bo któż z królów, któż z filozofów dorównał twojej chwale? Który kraj, które miasto nie pragnęło ciebie zobaczyć? Któż nie spieszył na widok twój, gdyś wychodził z domu? Któż nie towarzyszył ci wyteżonym wzrokiem, gdyś się oddalał z głową podniesioną? Która żona, która dziewica nie wzdychała za tobą nieobecny a nie płonęła w obecności twojej? Która królowa, księżniczka która nie zazdrościła mi szczęścia mego? . . . Dwa miałeś przedewszystkiem dary przywabiania dusz kobiecych, łatwość słowa i wdzięczność śpiewu, dwa dary, których nie posiadali inni filozofowie” . . . (9) Fulbert zaś mimowolnie pracował nad złączeniem dwóch serc dla siebie stworzonych: prosząc usilnie Abelarda, ażeby wszystkie wolne chwile swoje poświęcał Heloizie, powierzył mu zupeł-

(9) Epistola prima Heloïsae,

nią nad nią władzę. Abelard mogąc dowolnie kierować jej studjami, mogąc się widzieć z nią o każdym czasie, wyznaje sam, że nie bardzo uczennicy swojej nudził teologią lub logiką, że ją więcej zajmował utworami własnej muzy, niż subtelnościami dyalektyki.... że nareszcie więcej marzyli razem, niż czytali. Odtąd dziwna zaszła we filozofie zmiana; miłość do tego stopnia zajęła całe jestestwo jego, że powziął wstret niewymowny do katedry i do wszelkich uczonych odczytów, nie miał zresztą czasu gotować się na nie lub nawet myśleć o nich, gdyż każdą godzinę przepędzaną zewnątrz szkoły, poświęcał Heloizie. Ztąd tylko od niechcenia mówił, oziębłe i niedbale, przy braku nowych twórczych idei powtarzał stare pomysły, a nawet stare prelekcye odczytywać nie miał mocy, bo ile razy do nich zabierał się w zaciszu, mimowolnie słowa układały się w wiersze, w dzwieczne melodye, i zamiast filozoficznych problemów wypuszczał na świat zgrabne, czułe piosneczki, które niebawem zabrzmiały w ustach wszystkich, głosząc sławę Heloizy po mieście i po kraju. Uczniowie ubolewali głośno nad roztargnieniem filozofa, miasto całe mówiło o miłości jego, tylko pocziwy Fulbert nie wiedział o niczem, nawet uporczywie wiary nie dawał wieściom, jakich mu donosili usłudźni przyjaciele. Abelard był dla niego człowiekiem wyższym nad wszelkie ludzkie słabostki, a Heloiza dzieckiem, zatopionem w książkach. Dopiero po kilku miesiącach dowiedział się o wszystkim a gniew jego dorównał dawniejszej dobroduszości.... Abelard wyszedł z domu, Heloiza została zamkniętą.... Więcej niż nad rozłączeniem tém niespodzianem, ubolewali kochankowie nad nieświadomością, w jakiej pozostawali nawzajem co do losu swego. Abelard zapomniawszy o sobie martwił się położeniem Heloizy, a ona płakała tylko nad poniżeniem, jakie spotkało jej kochanka. Ale rozłączenie czyni miłość gwałtowną do szaleństwa.... Abelard odebrawszy list w którym mu kochanka donosi dumnie i radośnie, że się czuje matką, wykrada ją w nocy, z narażeniem życia i odsyła przebraną za mniszkę do Bretanii, do siostry swojej. Fulbert, którego przypadkiem w domu nie było, za powrotem odchodził od zmysłów i nie wiedział, co począć; byłby najchętniej się zemścił, ale lękał się o los Heloizy, pozostającą w odle-

głym kraju, w ręku krewnych Abelarda, niby zakład jego bezpieczeństwa; był nareszcie otoczony przyjaciółmi i uczniami, którzy czuwali gorliwie nad nim. Jednakże rzeczy nie mogły pozostać takimi nadal, Abelard znalazł położenie swoje nieznośnem a pragnąc i sobie i jęj przywrócić spokój utracony, udał się w pokorze do Fulberta i oświadczył się gotowym Heloizę zaślubić. Starzec nie spodziewający się ani tak szczęśliwego ukończenia sprawy, ani tak świetnego dla siostrzenicy zamęścia, przystał z radością na jedyny przez Abelarda stawiany warunek, ażeby małżeństwo pozostało tajemnicą; przebaczywszy więc uroczyscie Abelardowi wobec licznych świadków, odesłał go wśród czułych uścisków do Bretanii. Heloiza jednak nie chciała przyjąć ofiary, twierdząc, że ona nadaremna, gdyż stryj nie zapomni gniewu swego; że nie sprawia jęj ta ofiara najmniejszej radości, gdyż niweczy sławę Abelarda i zagradza mu drogę do kościelnych dostojenstw; nareszcie dowodzi ona obszernie już to powagą ojców kościoła, już to cytatami z dawnych mędrców, że małżeństwo największym wrogiem nabywania mądrości i wszelkiej filozoficznej kontemplacji; ona tytułu małżonki nie uważa wcale za zaszczyt, gdyż tylko sobie i miłości swojej chce ona zawdzięczać stałość kochanka, nie zaś więzom sakramentu.... Ani płacz jęj ani wywody uczone nie przekonały Abelarda; zostawiwszy syna, któremu na chrzcie nadali dziwne imię Astrolaba, w Bretanii, wrócili do Paryża a kilka dni potem przepędziwszy noc całą na modlitwach, nad ranem stanęli przed ołtarzem i wobec małej liczby przyjaciół zawarli śluby dożgonne, poczem Heloiza wróciła do domu stryja swego, Abelard zaś z dawnym zapalem oddał się na nowo naukom. Żonę widywał tylko rzadko i to ukradkiem, ażeby małżeństwo pozostało tajemnem; Fulbert zaś i rodzina jego rozgłaszali wbrew umowie wiadomość o takowem, a gdy Heloiza, dbała o przyszłość męża, stale i wytrwale wszelkim wieściom podobnym zaprzeczała, Fulbert coraz więcej się gniewał i coraz gorzej z nią się obchodził, aż znecierpliwiony Abelard nie odesłał żony do opactwa Argenteuil, gdzie dla większego bezpieczeństwa przykazał jęj nosić suknię zakonną, z wyjątkiem welonu. Wtedy Fulbert przekonany, że Abelard pozbyć się chce Heloizy, ażeby nie mieć przeszkody w przyszłym duchownym swoim zawodzie, uniósł się gniewem nie-

pohamowanym i krwawo na nim się zemścił (10). Abelard pogrążony w dzikić rozpacz, zamknął się w klasztorze św. Dyonizego (Saint-Denis) i tam, nie z przekonania, lecz jedynie ażeby ukryć się na zawsze przed światem, wyrzekł ślub zakonnika. Poprzednio jednak posłał Heloizie stosowny rozkaz, ażeby uczyniła to samo. Krewni i znajomi napróżno usiłowali odwieść ją od tego, za całą odpowiedź powtórzyła z Lukana słowa Corneli, żony Pompejuszowej: „o największy mężu, o małżonku, którego niegodnym było moje łożo, czyż nawet nad taką głową miał los sobie władzę daną? Czemuż, ach czemuż, bezbożna ja zaślubiłam ciebie, kiedy miałam cię zgubić? Teraz przyjm karę moją, którą poniosę chętnie”... (11). Chociaż miała mniej jeszcze od

(10) *Crudelissima et pudentissima nltione punierunt et quam summa admiratione mundus excepit; eis videlicet corporis mei partibus amputatis, quibus id quod plangebant, commiseram...* powiada Abelard w *Histor. calamit.* Nazajutrz było położenie filozofa okropne, męczono go kondolencjami, przed innemi zaś młodzież ukazywała mu żywe współczucie: mane autem facto tota ad me civitas congregata quanta stuperet admiratione, quanta se affligeret lamentatione, quanto me clamore vexarent, quanto planctu perturbarent, difficile immo impossibile est exprimi. Maxime vero clerici ac praecipue scholares nostri intolerabilius me lamentis et ejulationibus cruciabant... pisze Abelard tamże. Kobiety wszystkie były w rozpacz: quid singularum feminarum referam plaudum, quae sic, hoc audito, lacrimis more femineo ora rigarunt propter te militem suum, quem amiserant, ac si singulae virum aut amicum sorte belli reperissent extinctum? tak pisze przeor Foulques, który to list umieszczono w dziełach Abelarda; był to list kondolencyjny, jakich po nieszczęściu zapewne niemało odebrał od przyjaciół; wątpimy mocno, czy następny ustęp pocieszył go bardzo: tantus omnium luctus extitit, ut melius mihi videaris te debere velle periisse, quam servasse, quod perit. Felix se nescit amari. Pene tota civitas in tuo dolore contabuit. Habes arham verae dilectionis in te, quam si prins agnovisses, nullas meo iudicio divitias illi comparabiles aestimares.... Wykonawców zbrodni jako i głównego winowajcę Fulberta ukarano srogo; pisze o nich ten sam Foulques, przeor w Denil, w tymże liście: Quidam illorum, qui tibi nocuerunt, oculorum privatione et genitalium abissione mutilati sunt. Ille autem (t. j. Fulbert), qui per se factum abnegat, jam ab omni possessione sua bonorum comportatione extorbatu est...

(11)

o maxime conjux,

O thalamis indigne meis, hoc juris habebat

In tantum fortunae caput? Cur impia nupsi,

Si miserum factora fui? Nunc accipe poenas,

Sed quas sponte luam.

(Lucan. Phars. VIII. 94).

Abelarda powołania do klasztornej abnegacji, posłuszna jego woli, stanęła przed ołtarzem i z rąk samego biskupa przyjmawszy poświęcony welon, wyrzekła śluby, które na zawsze odgrodziły ją od świata. Jednakże rozkaz małżonka zostawił jej na zawsze bolesne wrażenie. Abelard widocznie się lękał, by czasem nie odmieniła myśli swojej i nie poszła za przykładem Lotowej żony, która uchodząc razem z mężem, jednak obejrzała się za miastem. W późniejszych latach, gdy z klasztorem swoim się zrosła, gdy dla niego wiele położyła poświęceń i wiele przecierpiała, nie mogła nigdy zapomnieć tej nieufności, jedynę zresztą, której doświadczyła od kochanka swego, twarz jej okrywa się rumieńcem na same o nią wspomnienie. „Bóg mi świadkiem, pisze, że nie byłabym się wahała nawet do piekła skoczyć, ze lub przed tobą, stósownie do twego rozkazu, bo nie ze mną lecz z tobą była dusza moja . . . (12).

Abelard uspokojony co do przyszłości Heloizy wykonał ślub Benedyktyna w klasztorze św. Dyonizego: opactwo to było pierwszém we Francyi; spoczywały tam relikwie patrona kraju św. Dyonizego, którego imię było hasłem w bitwach, były tam groby starych królów frankońskich, począwszy od Dagoberta; niezmierne bogactwa i rozległe włości dawały mu wielki wpływ polityczny, podczas gdy grób męczennika otaczał klasztor urokiem narodowego przybytku; to też opaci jego zasiadali w rzędzie pierwszych panów, herb królestwa błyszczał na ich chorągwiach; jeszcze za życia Abelarda jeden z nich Suger, był rządcą państwa. Łatwo pojąć że dumny, sławą wykołysany filozof pragnął ustroni, ale świetnej; szukał zapomnienia, chciał obumrzeć dla świata, ale wybrał sobie grobowiec, godny wielkiej jego przeszłości. Klasztor św. Dyonizego wydawał mu się takim wspaniałym grobowcem a zakonnicy przyjęli go skwapliwie, z wykwinną uprzejmością, ciesząc się, że sławny człowiek powiększy ich liczbę.

5. *Losy Abelarda od wstąpienia do klasztoru aż do soboru w Soissons.* Obie strony zawiodły się gorzko: zakonnicy łudzili się nadzieją, że Abelard blask wymowy swojej i skarby ducha swego odda na usługi klasztoru, podczas

gdy ten zebrał spokoju, zapomnienia; Abelard zamiast świetnej ustroni ujrzał się w ognisku intryg światowych i wesołego, lekkomyślnego życia, w którym opat braciom wszystkim przodkował. Bernard święty mówił o nich z oburzeniem, że zamiast służyć Bogu, kłaniają się cesarzowi. Abelard przywykły być pierwszym i przewodniczyć otoczeniu swemu, napominał opata i całą trzodę duchowną, a ci znając jego przeszłe życie nie bardzo chętnie słuchali jego uwag; nareszcie przekonawszy się, że nieznośny moralista nie poprawi się więcej, postanowili go się pozbyć czem prędzej. Nadarzyła się ku temu wygodna sposobność, gdyż uczniowie Abelarda dowiedziawszy się, że żyje i że zdrow, nawiedzali go tłumnie, prosząc o nowe wykłady. Abelard stanowczo się wzbraniał, ale opat i bracia korzystając z wyborniej sposobności, tak go błagali serdecznie, żeby nie zakopał nadzwyczajnych zdolności swoich, iż nareszcie, pozostając i nadal członkiem klasztoru, osiadł w Maisoncelle w dobrach hrabiego Szampanii i tam rozpoczął na nowo około r. 1120 wykłady swoje. Ledwo o tém wieść się rozeszła, zbierały się jak niegdyś tłumy, każdy mieszcząc się jak mógł w domkach i namiotach, w jamach nawet, obywając się lichą strawą, którą wynagradzały hojnie natchnione słowa mistrza. A chociaż dla stanu swego duchownego musiał więcej zajmować się teologią, nie zaniedbywał filozofii, uważając ją nietylko za przyprawę teologii, lecz za klucz także do zrozumienia dogmatów. Ideałem i wzorem jego był najgłębszy z chrześcijańskich myślicieli, genialny Orygenes, z którym zresztą dzielił nie jedno podobieństwo, a który także światłem filozofii rozjaśnił tajemnice wiary; „dla Orygenesesa, powiada św. Grzegorz Thaumaturgos, żadna nie istnieje tajemnica, on tłumaczy wszystko.” Abelard także tłumaczył wszystko, co mu dawało wpływ niezmierny na młodzież, ale narażało go na wielkie niebezpieczeństwo. Albowiem szkoły francuzkie zaczęły się, wyludniać, prąd jakiś tajemniczy unosił wszystkich do stóp samotnego filozofa; jednakże było wielu dawnych jego współpracowników, uważających mądrość swoją także za rzecz nieładną, ci widząc byt swój zagrożonym, spiknęli się szybko, ażeby odsunąć na zawsze niebezpiecznego rywala.

Zrazu zwracali uwagę dostojników kościoła na przykład niebezpieczny, że zakonnik po za klasztorem bez dyplomu i bez zezwolenia władzy otworzywszy szkołę gromadzi dokoła siebie tłumy słuchaczy, potem czytali bacznie pisma jego, czy nie uda się odkryć w nich jakiej herezyi; co nie było bardzo trudną rzeczą, gdyż Abelard opanowany wzniosłością przedmiotu, czasem mniej ogłędnie się wyrażał mimo najlepszej chęci swojej. Wychodząc z zasady, że tylko w to godzi się wierzyć, co rozum zdoła pojąć i że śmieszném byłoby, gdyby ktoś rozprawiał o tém, czego ani on ani słuchacze jego nie pojmują, ułożył on podręcznik dla uczniów swoich, w którym starał się wyjaśnić najkardynalniejsze prawdy o Bogu i Trójcy św. „zdaniami filozofów i pewnikami doczesnych wiadomości. Dzieło to „*Introductio in theologiam*” zrobiło głębokie wrażenie: unoszono się nad bystrém rozumowaniem, nad jasnym wykładem najtrudniejszych tajemnic wiary; przeciwnicy znowu oburzali się nad sprofanowaniem teologii, nad zuchwałstwem dyalektyki, która imając się wszystkiego, nie oszczędzała nawet wiary Chrystusowej. Jakkolwiek zasady Abelarda, przeprowadzone konsekwentnie, dochodzą do wyników nie koniecznie zgodnych z wiarą kościoła; jakkolwiek rozumowanie nad tajemnicami wiary jest rzeczą śliską, wiodącą nie raz na błąd dla dwuznaczności słów i pojęć niedokładności—przecież Abelard nic dotąd nie wypowiedział, coby zasłużyło na bezwarunkowe potępienie, filozoficzne zaś o wierze przeświadczenie, do którego sam dojść pragnął i uczniów swoich doprowadzić, nietylko nie jest przeciwném duchowi kościoła, lecz było zawsze uważane za niezbędne przez wszystkich wielkich ojców kościoła. Wiele lat później spotkały filozofa daleko słuszniesze zarzuty, i to od sędziów kompetentnych; obecnie chodziło oskarżycielom jego tylko o zniweczenie go jakim bądź sposobem, bynajmniej zaś o obronę wiary. Na ich czele stanęło dwóch z jego dawnych współuczniów, Alberik i Lotulf, którzy wymogli na remeńskim arcybiskupie Ràoul'u i na papieżkim legacie Conan'ie, że zwołano sobór w ich dyecezyi do miasta Soissons; tam dotąd zawezwano Abelarda wraz z księgą swoją, ażeby wytłumaczył się z zarzutów jemu czynionych. Abelard choć jako członek opactwa Saint-Denis pozostawał pod jurysdykcją

paryzkiego biskupa, przyjął przecież ochoczo jak zawsze, wezwanie do boju. Ludność miasta przyjęła go bardzo niechętnie, ale on ufny w niewinność swoją i w zwycięstwo dobrej sprawy, udał się natychmiast do legata, później i do arcybiskupa, wyłożył zasady swoje, oddał im do rąk osławioną księgę i oświadczył z głęboką pokorą, co zresztą powiedział już w przedmowie dzieła, że chętnie poprawi lub odwoła wszystko, co tylko okaże się niezgodnem z wiarą.

Sobór tymczasem zajmował się innemi sprawami, oskarżyciele przerzucali księgę, ażeby wynaleźć w niej jakąś podstawę dla zarzutów swoich, Abelard zaś niedbając więcej o sprawę, wykładał publicznie naukę swoją i wkrótce gorącą wymową i jasnością argumentów, zdobył sobie przychylność ludności, która zrazu bardzo niekorzystnie była o nim uprzedzoną. Tak nadszedł ostatni dzień soboru i nie wiadano jeszcze, co zrobić z mniemanym heretykiem. Abelard miał wśród prałatów kilku zwolenników i przyjaciół, jego sprawa zresztą była nadzwyczaj prostą, gdyż należało albo wykazać w księdze oskarżonej jakieś zdania herezyczne i dozwolić autorowi obrony, albo téż jak inni radzili, odesłać całą sprawę do opactwa Saint Denis, ażeby Abelard tam wobec świątłych mężów wytłumaczył się z zasad swoich. Przeciwnicy jednak na żadne z dwojga przystać nie chcieli, bojąc się wypuścić Abelarda z pod jurysdykcji swojej, gdyż trudno było złożyć nowe forum, gdzieby oskarżyciel zasiadał jako sędzia, dysputować zaś także nie mieli ochoty, lękając się porażki. Uciekwszy się więc do intryg, nalegali póty na słabego, ambitnego swego arcybiskupa, a ten znowu na legata; legat zaś z wyższością rzymskiej tolerancji zapatrywał się bardzo obojętnie na spory gallickiego duchowieństwa, które podówczas weszły w Rzymie prawie w przyszłowie: nareszcie okazali tyle, że postanowiono spalić książkę nieznosną bez sądu, autora zaś zamknąć w klasztorze jakim na wieczne czasy. Droga najwygodniejsza, żeby pozbyć się rywala. Abelard ze swjej strony mógł nważać sobór za niebyły, mając za sobą prawo kanoniczne, które dozwala każdemu bronić się oskarżonemu o herezję, miał także otwartą drogę apellacyi do biskupa swego — że mimo to przyjął upokarzającą propozycją soboru, nie wymogły zapewne na nim próśby przyjaciela bisku-

pa z Chartres, jak raczej nadzieja, którą się łudził niestety, że jeszcze w ostatniej chwili zdoła przemówić i sędziów swoich przekonać. I tak dumny mędrzec, który panował dotąd bez równego sobie nad szkołami Francyi, który zwyciężył wszystkich, co stanęli do walki przeciw niemu, który jaśniał nad całym Zachodem niby gwiazda pierwszego rzędu, staje z pochyloną głową przed sędziami swymi i usłyszawszy wyrok rzuca własnoręcznie księgę swoją w ogień. Zażądano potem wyznania wiary Abelard myślał, że nadeszła chwila upragniona, gdzie przemówi; ale oskarżyciele wołali z wrzaskiem, iż wystarczy dosłowne powtórzenie symbolu Atanazowego, ku większemu zaś upokorzeniu, jakoby nie umiał go na pamięć, podali mu egzemplarz. Przeczytał wśród łez i szlochań, poczem oddano go opatowi z Saint-Medard, który go odesłał pod strażą do swego klasztoru. Abelard wyszedł ze soboru w rozpacz, prawie obłąkany. Wiele lat później, gdy pisze „historię nieszczęść swoich,” rzuca pióro, nie znalazłszy słów na oddanie bolesnego wstydu i goryczy serca, które pożerały go wtedy. Wszystkie dawniejsze cierpienia swoje uważa za małe, za nic nieznaczące w porównaniu z duchowém poniżeniem, jakie spotkało go na on czas.

Jego przyjaciel jednak biskup z Chartres, który wymógł na nim ze łzami, że się poddał soborowi, dobrze mu poradził, gdyż upokorzenie było chwilowém tylko, pozorném tylko, a spadło w całości na przeciwników jego. Zaledwo rozeszła się wiadomość o postanowieniu soboru, podniósł się zewsząd okrzyk zgrozy. Legat ubolewał głośno nad obrotem sprawy, a zajęty więcej polityką niżeli książkami, złorzeczył zapalczywym sporom dyalektyków, uwolnił czempredzję Abelarda z więzienia i odesłał do Saint-Denis; najzabawniejszém zaś było, że nikt ze sędziów nie przyznawał się do wyroku, lecz każdy zwał winę na współników swoich.

